

Zbigniew Stawrowski: Solidarność niewypowiedziana

Solidarność była zupełnym zaskoczeniem, czymś absolutnie nowym, niespodziewanym. Dlatego najlepiej określa ją kategoria „cudu” - mówi Teologii Politycznej prof. Zbigniew Stawrowski



Solidarność była zupełnym zaskoczeniem, czymś absolutnie nowym, niespodziewanym. Dlatego najlepiej określa ją kategoria „cudu” - mówi Teologii Politycznej prof. Zbigniew Stawrowski

Anna Skórzyńska: Na czym, według Pana, polegała specyfika tzw. „pierwszej Solidarności”?

Zbigniew Stawrowski: Przede wszystkim na tym, że była zupełnym zaskoczeniem, czymś absolutnie nowym, niespodziewanym. Dlatego najlepiej określa ją kategoria „cudu”. „Cud” jest pojęciem nienaukowym. Jest znakiem, że w uporządkowaną rzeczywistość wkroczyło coś przedziwnego, czego w żaden sposób nie da się opisać za pomocą znanych dotychczas kategorii. Oczywiście, po latach próbowano oswoić i zrozumieć jakoś to, co się wówczas wydarzyło – sporo do powiedzenia wydają się tu mieć teorie republikańskie - są to już jednak refleksje późniejsze. Myślę, że podstawową sprawą jest zastanowienie się nad sensem samego doświadczenia solidarności. Należę do generacji, która sama to wszystko przeżyła. Byłem wówczas na ostatnim roku studiów. Świadomie uczestniczyłem w tamtych wydarzeniach, starając się równocześnie zrozumieć to wszystko, co się dzieje. Już wtedy można było dostrzec dwa odmienne wymiary tamtej „Solidarności”: Pierwszy wymiar – ten najbardziej znany, o którym pisze się w książkach i do którego ludzie najczęściej się odwołują - to Wałęsa, strajk, wielki dziesięciomilionowy ruch związkowy, siła polityczna, komunizm zepchnięty gdzieś do kąta... A więc doświadczenie walki politycznej, kolejny etap wyzwalań się narodu stłamszonego przez komunizm. Tak oczywiście było. Jednak moim zdaniem, dostrzeganie tylko tego wymiaru fałszuje to, co było źródłowym doświadczeniem „Solidarności”. A tym źródłowym doświadczeniem było to, że ludziom nagle urosły skrzydła. Ludziom, a nie tylko pojedynczym osobom. To zdarzenie miało wymiar - nie powiem „masowy”, bo słowo „masa” tu nie pasuje - ale zbiorowy, wspólnotowy. Nagle ludzie zaczęli wymagać od siebie więcej niż do tej pory. Nagle poczuli, że znajdują się w przestrzeni, która od nich więcej wymaga, że są unoszeni do góry. Uświadomili sobie, że chcą być lepsi także w takim najprostszym, ludzkim wymiarze własnego życia, w wymiarze relacji z innymi, stosunku do własnej pracy, do własnych

słów. Ten właśnie wymiar nie jest może zupełnie „zapomniany”, bo są ludzie starający się o nim przypominać – ale jednak przy okazji kolejnych rocznic mówi się o nim zdecydowanie mniej. Natomiast wystarczy, że porozmawia Pani nie z socjologami, politologami czy politykami, lecz zwykłymi ludźmi – robotnikami, nauczycielami – którzy pamiętają tamten czas i zwróci ich uwagę na ten element, a natychmiast odnajdzie Pani u nich odzew. Bo to jest właśnie to, co przede wszystkim ludzi wtedy łączyło. Tak tworzyła się wspólnota „ludzi sumienia”, o której mówił ksiądz Tischner. Wspólnota ludzi dobrej woli – proste słowa, ale rzeczywiście tak było.

AS: Jak w takim razie wyglądał krajobraz polskiego społeczeństwa przed „Solidarnością”? Ludzie nie próbowali działać, nie tworzyli żadnej wspólnoty?

ZS: Dzisiejsze młode pokolenia nie uświadamiają sobie, jak mroczne wtedy były czasy, jak beznadziejne czasy... Jedyną perspektywą dla większości młodych ludzi to było imprezowanie, alkohol i kontestacja, nawet nie polityczna, tylko kontrkulturowa, przede wszystkim poprzez muzykę – rock. I całkowita beznadzieja w życiu publicznym. Pełna beznadzieja także, jeżeli chodzi o sensowną pracę. W tej chwili na studiach panuje wyścig szczurów, bo ludzie myślą konkretnie, co będą robić dalej. Wtedy studia były ostatnim momentem cieszenia się życiem, bo wiadomo było, że gdy się skończą, to człowiek wpadnie w tę socrealistyczną otchłań. Chyba, że wcześniej się sprzeda, zapisując się do partii – wówczas nadal będzie żył w rozpacz, jednak czerpiąc w tej sytuacji pewne przyjemne dodatki. Tak wyglądał tamten świat.

AS: Co w takim razie zmieniło się w ludziach? Czy był jakiś impuls, który pchnął ich w kierunku większej solidarności, a w

konsekwencji utworzenia „Solidarności”?

ZS: Dziś, patrząc z dystansu, nie mam żadnych wątpliwości, że taką jutrzenką wydarzeń z 1980 roku była wizyta w Polsce Jana Pawła II rok wcześniej. Właściwie nie da się tych wydarzeń rozdzielić: „Solidarność” z 1980 roku była kontynuacją papieskiej pielgrzymki. Ta pielgrzymka sama była cudem, który poprzedził cud Solidarności. Miałem szczęście w tym cudzie uczestniczyć. Nie utożsamiałem się wówczas z Kościołem, ale po homilii Jana Pawła II na Pl. Zwycięstwa, którą obejrzałem w telewizji, wiedziałem, że dzieje się coś niezwykłego. I tak trafiłem na mszę dla młodzieży akademickiej pod św. Anną. Dokładnie w Święto Zesłania Ducha Świętego! Dla mnie podobnie jak dla wielu osób z mojego pokolenia ta msza i homilia Ojca Św. była rzeczywiście wyjątkowa. Przyniosła nam świadomość ludzkiej godności. Jan Paweł II mówił: wy, przyszli nauczyciele, inżynierowie, lekarze, architekci... studiujecie, żeby mieć dobre zawody. Owszem, to jest ważne. Ale przede wszystkim musicie sobie postawić pytanie ważniejsze: co jest waszym powołaniem? Waszym powołaniem jest, abyście stawali się Synami i Córkami Bożymi. I teraz zastanówcie się, co to powołanie oznacza. - Ja wiele z tego nie rozumiałem, ale wiedziałem tyle, że nikt wcześniej tak do mnie nie mówił - jak do Syna Bożego. To nie była byle jaka mowa. I to samo przesłanie mogli w różnych miejscach Polski usłyszeć i inni. Papież mówił do nas nieustannie o naszej godności : nie jesteście byle kim, jesteście Dziećmi Bożymi. Ci ludzie, te miliony ludzi, którzy to usłyszeli w 1979 roku przenieśli się wtedy do innego świata. Nie byli już więcej niewolnikami systemu, „robotami”. Oni stali się ludźmi wolnymi. Strajki sierpniowe okazały się już tylko katalizatorem, zapalnikiem. Cała Polska powstała. Ludzie zaczęli robić swoje, zgodnie z poczuciem własnej godności. Na swoim własnym miejscu zatroszczyli się o swoją przestrzeń, bo to był ich imperatyw moralny. I to się rozgrywało wszędzie. To właśnie jest pierwsza „Solidarność”.

AS: Gdzie można było te zmiany dostrzec?

ZS: Moje najbardziej bezpośrednie doświadczenie dotyczy uczelni (dzisiejsza SGH), gdzie zakładałem Niezależne Zrzeszenie Studentów. Ale to się działo wszędzie - w małych zakładach pracy, w wielkich zakładach pracy, na uniwersytetach, wśród rolników, w społecznościach lokalnych, nawet po części w milicji, choć szybko zostało to zdławione ... Ludzie zaczęli ignorować komunę i zaczęli robić swoje. To jest właśnie ta pierwsza „Solidarność”: poczucie odzyskanego sensu własnego istnienia, poczucie odzyskanego sensu własnej pracy, poczucie odzyskanego sensu własnych studiów. Jaki sens miało na przykład studiowanie na uczelni ekonomicznej, gdy musiało się słuchać absolutnych głupot, zwłaszcza, gdy wszyscy wiedzieli, że to są głupoty - zarówno wykładający jak i studenci. I nagle okazało się, że wszędzie wszystko można robić inaczej. Na uczelni jako studenci zabraliśmy się na przykład od razu za reformę przedmiotów skażonych ideologicznie, niektóre z nich zostały sensownie przekształcone, niektóre zupełnie wyrzucone... Otworzyła się przestrzeń wolności. Mieliśmy świadomość, że od nas bardzo wiele zależy i myślę, że tę możliwość bardzo dobrze wykorzystaliśmy.

AS: Nie jest Pan jedyną osobą, która łączy „Solidarność” z Kościołem. Między innymi Dariusz Karłowicz pisał o czterech elementach (jedność duchowa, nawrócenie, wspólne wartości, Ewangelia jako źródło wartości) upodabniających „Solidarność” do Kościoła. Również Marek Cichocki w kontekście „Solidarności” używał takich pojęć jak „Lud Boży” czy „cud”. Czy Pana zdaniem słusznie dokonuje się takiej sakralizacji „Solidarności”, czy rozmawiając o niej powinno się rzeczywiście używać tych samych kategorii, co w przypadku rozmów na temat wiary?

ZS: Ciekawe jest, że my trzej, Darek, Marek i ja, napisaliśmy w tym samym czasie, ale zupełnie niezależnie od siebie podobne teksty. Można stąd wnioskować, że źródło naszego myślenia było poza nami - czyli tylko opisywaliśmy rzeczywistość, która w sposób oczywisty się nam narzucała, a nie samodzielnie coś wymyślaliśmy. To jest pierwsza sprawa. I teraz jeśli pojawiają się te wspólne „kościelne” czy też „religijne” określenia to nie należy pytać, czy to jest dobrze czy też źle, ale czy możemy dzięki temu lepiej zrozumieć to, co się wówczas wydarzyło. Myślę, że to nie była sakralizacja w tym sensie, że nagle wszystkich zapisano do Kościoła Katolickiego. Ja sam na przykład byłem wówczas poza Kościołem. Byłem poszukujący tak jak wówczas wielu, wielu ludzi. Zresztą muszę powiedzieć, że w czasie pierwszej Solidarności obecność symboli religijnych nie była wcale zbyt intensywna, a przynajmniej sam tego tak nie odbierałem. Język religii rzeczywiście pozwala wyrazić pewne najgłębsze doświadczenia. Ale co mają zrobić ludzie, dla których ten język nie jest aż tak bliski, a którzy mają te same doświadczenia? Myślę, że tutaj znakomitą robotę robił ks. Józef Tischner, który takiego języka próbował dostarczyć: to jest język etyki. To samo czynił zresztą także Jan Paweł II, gdy przemawiał do „wszystkich ludzi dobrej woli”, a nie do „wszystkich członków Kościoła Katolickiego”. Jest taki język, który odpycha i jest taki, który zbliża. Te same treści można wyrazić w różny sposób. Językiem konkretnej religii mówi się tylko i wyłącznie do członków tej konkretnej religii, bo dla innych jest to obcy język. A doświadczenia są wspólne. Te, o których tutaj mówimy, zostały ufundowane na elementarnych wartościach, przede wszystkim na godności człowieka. Idea godności człowieka rozsadziła komunizm, tak jak rozsadza wszelkie formy totalitaryzmu.

AS: Czy dostrzega Pan jakieś podobieństwo między wydarzeniami po 10 kwietnia a tymi z 1980 roku.

ZS: Także po katastrofie w Smoleńsku pojawiło się mocne poczucie nadzwyczajności czasu, a wraz z nim narodziła się wspólnota ludzi, którzy uświadomili sobie, że tu i teraz mają zadanie do wykonania, zadanie, które jest wezwaniem sumienia - etycznym zobowiązaniem wobec drugiego człowieka i wobec wspólnoty, wobec Polski.

AS: Na ile trwale tego typu doświadczenia wpływają na polskie społeczeństwo? Jest to tylko chwilowy wybuch silnych emocji, które gasną i nic po nich nie zostaje, czy dokonują się wówczas poważne przemiany w życiu pojedynczych ludzi lub całego społeczeństwa?

ZS: O społeczeństwie nie będę się wypowiadał, zostawię to socjologom. Mnie bardziej interesuje wymiar indywidualny. Nie mam żadnych wątpliwości, co do tego, że doświadczenia pierwszej „Solidarności” przeorały ludzi, a więc również zmieniły kształt polskiego społeczeństwa. Oczywiście, u niektórych ludzi te doświadczenia szybko się ulotniły. Istnieje jednak również pokaźna grupa osób, dla których po dziś dzień pozostają one doświadczeniami fundamentalnymi. Wydarzenia takie jak rok 1980, odejście Jana Pawła II czy niedawna tragedia w Smoleńsku zmieniają widzenie świata. Sprawiają, że podejmowane są pewne osobiste decyzje, dokonywane są pewne osobiste wybory. Na ile to się objawi w wymiarze społecznym, czy te indywidualne decyzje złożą się jakoś ze sobą i osiągną masę krytyczną czy też nie, tego nie jestem w stanie powiedzieć. Jednak mam poczucie, że dzieje się tu coś ważnego. Może to zabrzmie trochę metafizycznie i eschatologicznie, ale Polska naprawdę jest przedziwnym, wyjątkowym krajem. Wystarczy obejrzeć się wstecz i popatrzeć na naszą nie tak odległą przeszłość. Żeby to widzieć, wcale nie trzeba być romantycznie i mesjanistycznie ukształtowanym Polakiem. Na przykład Norman Davies nie bez racji pisze, że w naszym kraju odbywają się „Boże igrzyska”. Również Jan Paweł II miał wizję, że Polska otrzymała jakieś

specjalne zadanie w Bożym planie. Nasza perspektywa jest naprawdę unikalna. W XX wieku jako jeden z nielicznych krajów mogliśmy bezpośrednio posmakować, czym są oba totalitaryzmy: nazistowski i komunistyczny. Co więcej, to właśnie w Polsce w 1980 roku udało się wynaleźć antidotum na komunizm. Jest nim właśnie solidarność - wspólnota ludzi dobrej woli, wspólnota ludzi sumienia. Wystarczy porównać nasz kraj z innymi - czy to sąsiednimi, czy to z odległymi - żeby dojść do wniosku, że tu naprawdę dzieje się coś niezwykłego, cudownego. Można na to zamykać oczy, ale można też - z należywym krytycznym dystansem - potraktować to poważnie.

AS: Wspominał Pan o patrzeniu na Polskę przez obcokrajowców. Jak Panu się wydaje, czy w ich oczach „Solidarność”, rok 1980, były czymś wyjątkowym, co nie powtórzyło się nigdzie indziej na świecie? Słowo „Solidarność” urasta do rangi pewnego symbolu kojarzonego z Polską - jak jest on rozumiany poza granicami naszego kraju?

ZS: Na to pytanie trudno odpowiedzieć, ale z moich doświadczeń (bardzo wrywkowych) wynika, że ta wyjątkowość została dostrzeżona. Trudno się temu dziwić, bo nawet z zewnątrz było widać, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Jednak ważniejsze jest, jak próbowano to wszystko opisywać i tłumaczyć. Jak wiadomo, każdy mierzy własną miarą, a więc usiłuje do różnych sytuacji przykładać znane kategorie, których używał już wcześniej i za ich pomocą rozumieć nowe wydarzenia-nawet, jeśli te są inne, zupełnie inne. Pamiętam, jak na Zachodzie pierwszą „Solidarność” próbowano wyjaśniać w kategoriach marksistowskich. Widziano ją jako prawdziwy ruch robotniczy, który pokazał, że założenia marksizmu są słuszne, tylko zostały zdradzone w systemie sowieckim, ale teraz dzięki „Niezależnym Samorządnym Związkom Zawodowym” mamy odnowę prawdziwego marksizmu. Zresztą do tej pory są tacy specjaliści od „Solidarności”, którzy o niej

myślą tak naprawdę w kategoriach postmarksistowskich, klasowych, bo inaczej po prostu nie potrafią. Ale to jest całkowite nieporozumienie.

AS: Spotkałam się kiedyś z taką interpretacją wydarzeń sierpniowych, według której wielkim paradoksem komunizmu jest fakt, że ustrój opierający się na klasie robotniczej został obalony przez samych robotników...

ZS: Przede wszystkim nie został obalony przez samych robotników, bo nikomu nie ujmując, ruch „Solidarności” był ruchem ogólnopolskim, a formuła robotniczego związku zawodowego została przyjęta dlatego, że akurat w wyniku podpisanych przez Polskę w latach 70 –tych międzynarodowych paktów była taka możliwość. To oczywiście dla komunistów było wyjątkowo niewygodne, bo rzeczywiście wyglądało to tak, jakby cała klasa robotnicza wystąpiła przeciwko partii, która sama uważała się za awangardę tejże klasy robotniczej. Jednak to wszystko działo się na powierzchni. Lawa znajdowała się głębiej. „Solidarność” w innych okolicznościach mogłaby równie dobrze przyjąć zupełnie inną formę organizacyjną. Ale ponieważ akurat można było stworzyć związek zawodowy, to prawie dziesięć milionów Polaków zapisało się do związku zawodowego. Trzeba pamiętać jednak, że „pracownicy umysłowi” też tam byli obecni i odgrywali kluczową rolę. Poza tym ten podział na „robotników” i „nierobotników” jest sztuczny. Wszyscy ludzie pracują. Czy moja praca jako filozofa jest mniej „robotnicza” i wymagająca mniej wysiłku niż kogoś, kto pracuje w fabryce? Wytwory są inne, ale schemat ten sam: jest osoba i jej czyn. Dodam jeszcze, że nie znam dobrych zagranicznych analiz dotyczących „Solidarności”. Dobre analizy powstają tutaj. Co więcej, można przypuszczać – wskazuje na to zbieżność czasowa - że fenomen pierwszej Solidarności przyczynił się w jakimś stopniu do fermentu intelektualnego w ramach nurtu liberalnego w Ameryce i spowodował jego korektę w kierunku dowartościowania wymiaru wspólnotowego. Najważniejsze teksty

komunitarian (M. Sandela czy M. Walzera) opublikowane zostały wkrótce po tym, jak w Polsce wprowadzono stan wojenny. Ostatecznie, główna myśl komunitaryzmu to nic innego niż właśnie idea solidarności, czyli to, do czego mamy dostęp u siebie, być może o wiele głębiej...

AS: Bardzo dziękuję za rozmowę.

Z Prof. Zbigniewem Stawrowskim rozmawiała Anna Skórzyńska (2010 r.)